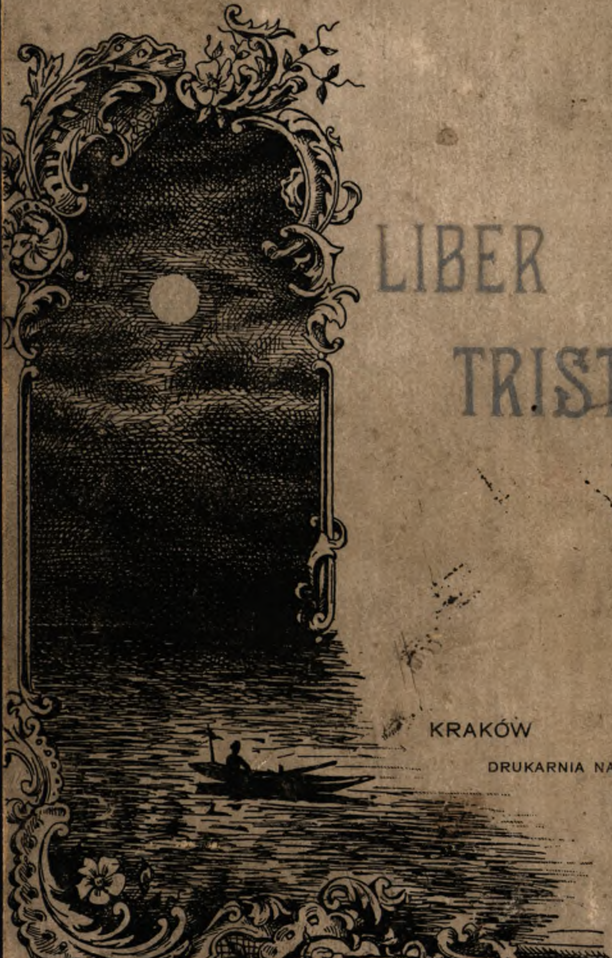
F. MIRANDOLLA



LIBER TRISTIUM

KRAKÓW

DRUKARNIA NARODOWA

1898

Józefa Singerówna
1902.

LIBER TRISTIUM

F. MIRANDOLLA

LIBER TRISTIUM

1902

KRAKÓW
DRUKARNIA NARODOWA F. K. POBUDKIEWICZA
1898.

Ś. p.

H. Łukasiewiczowej

Autor.

Dziś gardzę głupią ostrożnością gminu,
Gardzę przestrogą...
Myśl Boga z tworów wyczytuję ziemi
I głazy pytam o iskrę płomienia —
. . . .
Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa.
Posępny, tęskny, pobladły
Patrzę na kwiatów skonanie
. . . .
I zdaje mi się, że mię wiatr rozwiewa.

Kordyan I cz.

Lśni bezgraniczne morze,
Jakby nań padły zorze
Nowych nieznanych, wstających dni;
I w tej wielkiej ciszy,
Co przyszłością dyszy,
Symfonii jutra pierwszy akord brzmi.

Na dno! Na dno!
Gdzie nowe dzieła śnią,
Przyszłych piorunów spowita leży moc!
Zstąp śmiało i popatrz w serce,
Ognia co spi w iskierce,
Okryty w gęstą noc.

Na dno! Na dno!
Gdzie jutra orły spią,
Ach! może już uciekły na nieznane szczyty!
Jeśli odwagę masz,
Zstąp i tytanów wskaż,
Co jutro z gwiazdą u czoła wstąpią na błękity.

I.

ZE STARYCH KSIĄG.

Ofiara Somy.

(Na motywach Rigvedy).

Niech twój sok zwycięży omdleniem,
Czego nie zniszczą Agni połyski —
Czego nie zniszczą Agni języki
Jak rozburzona grzywa rumaka
Soma!

Odpędź wyjące o długich językach
Psy szczekające w cichą Somy noc.
Niech oko nasze głaszcze blask księżyca,
Niech zejdzie po promieniach Yati bladolica
Na jadzie Twym.

Rzuć czerep precz, bo czerep to Powierzchnia
A Jądro Somy biały słodki jad...
Szczęśliwy, kto już śpi, nim puhar pękł na skale,
Szczęśliwy, kto ma Yati na ustach ukąszenia
Spać!

Spać — ale nie tak — jak spi po pracy człowiek!
Spać — ale nie tak — jak spi umarły człowiek!
Spać — ale tak — by pod zasłoną oczu
Był chaos — życie — grób — i trzęsienie ziemi
Przez Somę.

Spać, ale tak, by grały surmy głośno
Pobudkę wojny, i by przez obłok snu
Płynęły ciche, jak komarów brzęki,
Słowa zatrutych hymnów pianych
Na Yayati wzgórzach.

O! tylko tak na piersiach Somy-Boga
Godzi się przespać życie krótkie, urodzonym.
A ci, co skomlą głośno pod kąsaniem Yati —
A ci, co wietrzą śmierć we włosach Yati —
A ci, co w Yati-Somy noc szczekaniem mącą czary,

Ci są i nie są,
Ci są — lecz nie byli!
Ci są przypadkiem!
Ci wkrótce — nie będą.

Z Upanishad.

Cała przyroda roi się od życia,
Wszystko nam w ucho szepce tajemnice,
Jakieś westchnienia i jęki wokoło,
Wszystko w przyrodzie cierpi, kocha, myśli.

Tam rosną palmy. Czemu wy mówicie
Palmy? Ja widzę dusze świętych ludzi
Co tam usiadły po trudach Samsary;
Skąpane w słońcu czekają na Brahmę.

Irysy pachną. Nie! to nie są kwiaty!
To pięknych kobiet błąkają się dusze,
Czar pełnych szczęścia błąkają się wonie,
Od których zadrży nawet grób — Nirwana.

O! bo kobieta to ołtarz Nirwany,
Płomień rozkoszy ślizga się po stopniach
I w niebyt szczęścia płynie z pocałunkiem —
Kobieta — Szczęście — to ołtarz Nirwany!

Wszystko się chwieje pod tchnieniem Samsary,
Wszystko usypia na łonie Nirwany —
Wszystko jest Jedno, a Jedno jest Wszystko!
Wszystko jest Bogiem! Bóstw nigdy nie było!

Z Zendawesty.

Są wątłe kwiaty, co kwitną w cieplarni,
Jaskółki wracać powinny na zimę,
Ryby oddychać mogą tylko w wodzie —
Te wszystkie prawdy mszczą się naruszone.

Kiedy jaskółkę schwyci mróz w powrocie,
Gdy wodę stawu wypije posucha,
Kiedy potłucze wiatr cieplarni szyby,
Wtedy zaczyna się zemsta okropna.

Czyście widzieli te smutne nagrobki,
Kości jaskółki, suchy badyl kwiatu
I resztki ryby gnijące na piasku?
Wszystko się dzieje według praw przedwiecznych.

II.

IMPRESYE.

Sen.

Harfą cię moją śniłem raz,
I wyciągałem dłonie,
A pieśń szumiała, jakby las,
Gdy wicher w nim utonie.

Wiosną cię jasną, wonną śnić
Począłem w nocnej głuszy,
I już zaczęłaś wianki wić
Dla mojej nagiej duszy.

Ale przeminął marzeń czas
O harfie i o wiośnie,
I już nie szumi pieśń jak las,
I kwiecie już nie rośnie.

Słońce.

I.

Słońce do ziemi słodko się uśmiecha,
Jak do kochanki-żony, mąż-kochanek,
Kiedy nad ranem uchyla firanek
I jeszcze śpiącą podziwia zdaleka.

Już w snu letejskiej wykąpana wodzie
Ziemia do nieba wyciąga ramiona.
W cichym zachwycie, wonią rozmodlona,
Pachnąca rosą w pierwszym słońca wschodzie

Leśna polana — śmieje się do słońca.
A ono patrzy tkliwie na murawę,
Po której mrówek nić się wije lśniąca,

I ma w spojrzeniu promienie złotawe,
Jak matka nad kolebką dziecka czuwająca,
Jak mistrz, co pierwsze hymnu akordy potrąca.

II.

Po trudach dnia miłości, oczy ukochanej
Błyszczą z pod powiek tak na pożegnanie
Jak zachodzące słońce, gdy na górach stanie.
Świąt się zatapia cały w gęstej mgle różanej.

Gdy spazm miłości pochwyci dziewczynę,
Promienie wtedy od niej biją białe,
Lecz gdy opadną ramiona omdlałe
Cała skąpana w powodzi rumieńców.

Słońce zapada i ciemnieją góry...
Z nad łąk się ciche zwolna podnoszą opary,
Jak wąż się dołem pomrok ślizga szary,

Zielone światło po drzewach się słania,
Ziemia liliowa leży z wyczerpania
I coraz bardziej sinieją lazury...

Ze wspomnień.

I.

Stare, spruchniałe ściany, deszczem wbite w ziemię;
Jedna w tył się wygina, druga się zatacza.
Pada prawie i skomli, jak skarga żebracza.
Dach na dwoje pęknięty, jak rozbite ciemię.

Mech szary tkwi w szczelinach. Upadły na ziemię
Szczątki opuszczonego, bocianiego gniazda...
Dawno zgasnąć musiała tego miejsca gwiazda...
Cicho... wiater się zarył w szary mech i drzemie.

I tylko najeżony, z obłąkanym wzrokiem,
Chudy, czarny jak widmo — kot po dachu chodzi,
Błyszcząc zdala, w ciemności fosforycznem okiem.

Tak w pustyni mej duszy cień, co był nadzieją,
Włóczy się jak kot wierny, i cichy jak złodziej,
A w oczach mu ostatnie połyski jaśnieją.

II.

Bardzo kochałem ten wzgórek samotny
I te czarne szpalery, co w puszyste ramy
Ujmują tę zaklęsłą, piaszczystą równinę.

Siedziałem nieraz długo i śniłem, że płynę
Gdzieś wysoko, nad słońce, aż gdzieś u stóp Brahmy,
By wzrokiem chaos świata pochwycić zawrotny.

I śniłem, że te jęki i te szumy w dole
To szmery harmonijne jakieś wielkiej rzeki,
Co od stworzenia świata w cel płynie daleki,
Że to konieczne dzwona w wszechistnienia kole,

I już nic nie cierpiałem i tylko jej pieśni
I tym dalekim szmerom otworzyłem serce,

I zapalał się jakiś ogień po iskierce
I oczyszczał mą duszę z szarej cierpień pleśni.

Zbudziłem się... Po równinie blask stalowy brodził
I z po za gór dalekich — biały księżyc wschodził...

Refleksya.

Nakryłem dłonią białego motyla,
Kiedy mu pierwsza życia błysła chwila
I kiedy spijał pierwsze swe nektary
Z wczoraj rozwitej białej lilii czary.

W ciasnem więzieniu tłucze się rozpacznie!
Dlaczego właśnie jego pochwycono?
Gdzie napisano: umrze; ledwie życie zacznie.
Czy śmierć trafia w znaczone jakim palcem łono?

Czyż jest nad lazurami jakaś Śmierci księga?
I kto katowskie w niej pisze rozkazy?
Kto wskazuje ofiarę gdy zabójca sięga
Po gardło? Kto wodzi ręką co zadaje razy?

Są trupy! Są oprawcy! ...ale sędziów niema!
Patrzę wkoło... do nieba uśmiecha się ziemia.
Otwieram dłoń... już skonał... a na łąkach wkoło
Roje białych motyli hulają wesoło.

Ranek.

Okrągłe białe chmury biegną po błękicie,
Gonią się i dziecięcym wybuchają śmiechem,
Słońce je, wstając, ciepłym różowi oddechem.
Rozbiegły się. Bladą widać Jutrzenkę w zenicie.

Na ziemi oczy po śnie przecierając jasne
Życie na miękkiem łożu jeszcze się przeciąga,
Szmer wody, wiecznie żywy gdera i urąga
I gadatliwie cnoty wyśpiewuje własne.

Wiatr zerwał się z gałęzi i pobiegł w podskokach
Na dalekie ugory, w las uderzył czołem,
Pogwarzył z odchodzącym białym snu aniołem.

Uderzył żwawo skrzydłem w górze po obłokach
I padł spocząć na kobierzec traw seledynowy.
Życie wstało. Dla ziemi dzień się zaczął nowy.

Obrazy nowych mistrzów.

Wilhelmowi Feldmanowi.

Linie gną się jak liany kołysane w wietrze,
Pełzają jak greckie szaty w węzły poplątane,
Grają na strunach duszy pieśni nieśpiewane,
Błyskają jak motyle nim Dzień barwy zetrze.

Mistrz rzucił garść wijących się jak wężów sploty
Linii — myśli, i odszedł, a z dalekiej strony
Płynie dusza, co wstąpi w twór niedokończony
I ciche z białem ciałem prowadzi zaloty.

Powstają w starych zamkach zaklęte królewny,
Proporce zmarłych szumią. Zda się tętent konia
Rycerza z przed trzech wieków przelata przez błonia.

Pomału w górę pełza, czy ożył, niepewny
Czar umarłych stuleci w cichych westchnień fali —
A na niebie się nowa zorza jasno pali.

Uśmiech.

Wilhelmowi Feldmanowi.

Widziałem ją na balu. — Z tym wiecznym uśmiechem
Który Demon gatunku wyciskał z jej warg
Z tym wiecznym pożądania ukrywanym grzechem,
Z tem lubieżnem »czekaniem« pełnem żrących skarg.

Widziałem ją w ogrodzie. U stóp małe dziecię
Stawiało zamki z piasku. Na ustach dziewczęcia
Wisiał uśmiech lubieżny... jak w chwili Poczęcia,
Śnionego macierzyństwa w tym pączku-kobiecie.

Raz stanąłem pod oknem, siedziała samotna,
Ogień gasł na kominku, cicho świerszcze grały,
Mgła przez okno z ogrodu płynęła wilgotna.

Ciszy wieczornej fale rysy jej oblały.
Siedziała opuszczona, od ludzi zdaleka...
I w tej chwili miała spokojną, cichą twarz — Człowieka...

Opuszczony park.

Zdziczałe palmy tkwią w kępach pokrzywy,
Na świerkach wiszą grube sploty lianów,
Kłąby, do opuszczonych podobne kurhanów,
Cedr, stoi jak nagrobek dumny lecz nieżywy.

Mchów aksamit pokrywa kamiene terasy,
Stawu oko się zieloną powieką zamknęło...
Gdzieś wybiła godzina... i życie stanęło.
Cicho... i tylko w dali sine szumią lasy.

A jednak trzeba tylko by się drzwi otwarły,
I stanął na terasie pan niedawno zmarły,
By serce bić zaczęło starego ogrodu.

Gdy ziemia blask ostatni pożegna zachodu
Ludzie ten smutny ogród omijają zdala,
A z czarnej głębi parku płynie dźwięków fala.

Pisane w Zrencinie 18.VII. 1897.

Powitanie.

Pannie E. L.

Chciałbym ci kwiaty słać pod nogi,
Lecz kwiatów niema,
Z róż polnych suche sterczą głogi,
To zima.

Chciałbym cię witać jak strumienie
Powrót wiosny.
Ale mam tylko w sercu drżenie,
Dreszcz radosny.

Jak miecz mi ostry to pytanie
Nad głową warczy.
Czy takie nieme powitanie
Ci wystarczy.

Mgła nad morzem.

Wnej Pani Mazurkiewiczowej.

Jedna ciężka kotara wisi u sklepienia
Niebios i mokrym rąbkiem aż do ziemi sięga,
I cięży bezlitośna fizyczna potęga
Jak zimna i złośliwa siła przeznaczenia.

Choć słońce dawno zaszło, widok się nie zmienia
I nawet mrok wieczorny z nieba zejść nie może,
Wisi chmurą nad światem w objęciu uśpienia.
W dali szumi zdziwione niewidzialne morze. —

W oknie willi lękliwe migoce światełko,
Czerwone jak przed wiatrem promień na zachodzie,
Zda się w morzu zwątpienia pociechy kropelką.

Świat się zanurzył cały w rozpylonej wodzie,
I tylko tam na lewo przez szparę niewielką
Widać księżyc, co chmury srebrnym rogiem bodzie.

Ranek.

Jak orzeł — sam. Jak chmura zabłąkana
Na niebios sklepieniu, co Saharę przykrywa,
Po odrętwieniu nocnem powstaję każdego rana.

Pada deszcz drobny, smutny, ziemia błotem usłana
Spokojnie, wolno wstaję. Nic mię przecież nie wzywa,
Zgoiła się w mej duszy bolesna sumienia rana.

Cicho! Jak dobrze że ziemia tak zaspana!
I że słońce mych błędów imieniem nie nazywa!
Do końca życia wstawać tak chciałbym każdego rana.

Melancholia.

Nad lasem mgła się słania i w mokrych kiściach zwisa,
Leżę w otwartem oknie i piję wilgoć ranka,
Widziałem takie chmury na czole Serapisa.

Dziwny Bóg co się kryje w podziemny kraj Apisa!
Czyż Zeusa moc wypiła zeń kochanka?
Czy Przemoc — Ból — mu z mózgu myśl wysysa?

W powodzi kudłów — jak w hełmie Ozirisa
Pioruny śnię, i tylko rąbek wianka
Jeden różany pąk na białe czoło zwisa.

Spi biały jakim wyszedł z pod dłuta Bryaxisa,
Jesienny wiatr tak ziębi tego ranka
I tyle smutnych chmur co w duszy Serapisa.

Meteor.

Pannie E. L.

Milczymy, czasem tylko z warg opadnie słowo
Jak kropla rosy z kwiatu. Idziemy aleją.
Czasem się tylko sowy dziko roześmieją —
Drgnie życie i w sen cichy zapada na nowo.

Wiater nam łąk dalekich zapachy przynosi.
Patrzę na gwiazdy w sinym błękicie utkwione,
Ona gładzi ciemnego irysu koronę,
Co się jej do nóg tuląc o pieszczotę prosi.

Błysk nagle oblał drzewa, a przez niebo ciemne
Przebiegł długi wąż krwawy i zagasł nad nami,
Oczy mi, nie wiem czemu, same zaszły łzami.

I stało się tak ciemno, że niebo bezdenne
Znikło i ziemia znikła; a z tej strasznej męki
Ocknąłem się dopiero, gdym dotknął jej ręki.

Nokturn.

Wizya wiosenna.

Pannie E. L.

Wiosna zakwitająca. — Lilia otwiera kielich biały.
Na szarej ziemi błyszczące irysy pozakwitały.
Mienią się sino, jak gwiazdy wiatrem strącone na ziemię.
W białych promieniach księżyca
Parku starego ulica
Drzemie.

Trwożnie i tylko Nocą Wiosna otwiera kielichy
Kwiatów dotkniętych niemocą, słyszę jej oddech cichy,
A drzewa drżą.
Woda, co stała się krą,
Srebrzy się teraz i żyje.

Och! tylko gdy ciemność Nocy wszystkie połyski wypije
I na dziewiczą pustkę wypłynie księżyc biały,
Wtedy się tylko zdaje, że kwiaty pozakwitały!
I wizya żyje.

Bo w dzień się jeszcze słońca w promieni pęki chowa,
Jak w płowych włosów sploty chorego dziecka głowa,
A kiedy otworzy czasem wypełzłe blade oczy
I wzrokiem sennym pjanym, po ziemi krąg zatoczy,
Ziemia wygląda wtedy, jak opuszczona gospoda.

Już nic nie widać, już Wiosna zamyka kielich biały
I z szarej trawy błyszczące irysy pouciekały,
I tylko długiemi pasami topole ścielą ziemię —
W białych promieniach księżyca,
Parku starego ulica
Drzemie.

Heliogabal.

Zanurzone w pieczarę bisioru i złota
Błyszczy jak białe bóstwo na ołtarzu spiące —
Dwa kręgi żyrandoli jak węże świecące
Ujęły stopy bóstwa. Stalowych rycerzy
Po dwu stronach ołtarza niema stoi rota.
Tysiąc błyszczy pochodni na czołach puklerzy.

Pawich piór pęki strzegą Mu od świateł oczy,
Kobierzec z włosów kobiet białe pieści nogi,
U szyi wisi lśniący amulet złowrogi:
Żmija. Porusza głową, bo ją światło mroczy.
I językiem podwójnym po piersiach łaskocze
Bóstwo białe jak kamień i jak sen urocze.

Pękła kopuła złota przepychu świątyni —
I róż morze wylało się przez rozpadlinę,
Podłoga się w Edenu zmieniła równinę,
A lato się schyliło do stóp bóstwa króla
I wonną ciepłą falą nogi mu otula.

Siedzi na białym tronie z kości mastodontów,
Gdyby skinął, dwa światy padły by na siebie
Jako bracia w uścisku lub jak boju wrogi,
Lecz on z niemym uśmiechem podziwia swe nogi
I zatapia się myślą jak huryssa w niebie
I śni, że gdy się zmarszczy z wszystkich sali kątów
Wypadną strute groty na serce winnego.
Czuje się władcą — Panem dobrego i złego.

Zmrużył lekko powieki i gwiazdy pogasły
I żyrandole zgasły i blask na puklerzu
Jak okowach zakute w odwiecznym przymierzu,
I podwoje się lekko kopuły zatrzasły;
Pomdleli w stal zakuci przy ołtarzu stróże,
Żmija głowę spuściła i powiędły róże.

Baal — Helios, Heliogabal, którego imienia
Echo leśne się dźwignąć na barkach nie waży,
U steru świata stoi jak pilot na straży
I loty gwiazd błyszczących błyskiem oczu zmienia
Baal, Helios, Heliogabal — orzeł Przeznaczenia
Nagi się, jak pochodnia, na ołtarzu jarzy.

Nieznajomi.

Mistrzowi K. Tetmajerowi.

I.

Nie mamy czasu spostrzedz ich. Odchodzą
Milcząc i nigdy nas już nie poznają,
Inni stają i cicho nam się uśmiechają,
Zdają się chcieć coś mówić, lecz usta zawodzą

I ze zwieszoną głową szybko uciekają,
Jakby błąd swój spostrzegłszy, ale drzwi zostają
Otwarte i gadziny suną przez kobierce
I jakieś drżące echo wierci nam się w serce.

Uciekli. Tam za Rzeką rozbili namioty,
Zatknęli w ziemię sztandar, gdzie po jednej stronie
Serce w ciernie ubrane jasnym ogniem płonie.

Ale w nocy deszcz upadł i sztandaru godła
Spełzły, a wązka ścieżka co ich tu przywiodła
W strugę spłynąwszy błota, zabrała namioty.

II.

Sami nigdy nie mówią i w mgłę się chowają,
Kiedy grozi mi strzała zdala wypuszczona,
A gdy im do krwawego rękę zbliżasz łona
Jak opary poranne, w Nic się rozpływają.

Wczoraj, zdawało nam się, że są między nami,
Dziś wieczór znikli... i tak już daleko
Odbiegli, że choć oczy nam zachodzą łzami,
Choć dusze nasze drżące śladem ich się wleką.

Nawet echo nie dojdzie; Harona starego
Spytajcie czy ich przewoził przez letejską falę?
Czy sterczą z tamtej strony ich namiotów pale?

Daremnie! tylko w piersiach tłucze się pytanie.
Którego z ust wyrzucić nie byliśmy w stanie.
Możeby ich dościgło — nim dalej odbiegą??

III.

Czemu nadeszli i tam czerpać chcieli
Wodę, gdzie nasze rozbito namioty?
Czemu zgięci nad wodą w oczy nam spojrzeli?
Czemu im brakło przemówić ochoty?

Czyż od nich słowa byśmy skamienieli?
Czy serca mają na klucz spięte złoty?
Czemu te dziwne mieli włosów sploty,
Których się nigdy rękami nie tknęli?

Czemu — jak ton zerwanej struny jęczy długo,
Choć struna pękła, i dłoń co szarpnęła
Dawno się po bezsilnych biodrach osunęła.

Po drugiej Stronie Wody, tam za Wielką Strugą,
Cichym wieczorem patrzę w ich obozowiska,
Gdzie dym się kłębi czarny i światło połyska.

IV.

A może ci dalecy wiedzą, że bez końca,
I wiedzą, że bez celu jest to nasze życie!
I może oni wiedzą kto padnie w rozkwicie —
I kryją w swych namiotach od Przyszłości gońca?

Daremnie pytać! Kiedy przechodzili
Widziałem z nich jednego — miał skrzydła związane,
Ciężkiemi powrozami nogi oplatane,
Dwu innych go trzymało kiedy wodę pili.

Więc pocóż pytać? Niech od nas daleko
W swoich namiotach koczują za rzeką,
Zatrzyjmy ślady ich przejścia na piasku!

I tylko czasem, przy księżyca blasku
Zdala, ująwszy się silnie za dłonie,
Patrzmy w ten ogień co za Rzeką płonie.

V.

Brat zmarł nam wczoraj, w białe powijaki
Spowite ciało złożono nad rzeką,
Jeden z nas czuwa, szmeru fal co cieką
Słucha, i patrzy na krążące ptaki.

Siedzimy smutnie. Słońce zwolna schodzi
Napić się Lety i spocząć na górach.
Wiater szeleści po różowych chmurach,
I cisza bliskiej nocy po ugorach brodzi.

Czekamy, aż się ściemni, aby oddać ziemi
Co nocą ciemną z łona wyrzuciła.
Już się na niebie gwiazda zapaliła.

Wtem siła jakaś zwróciła nam głowy...
Tam z poza rzeki przez ugór jałowy
Szedł ku nam czarny upiór z skrzydły związanemi.

VI.

Już nie pytamy ludzi, co za nurtem Rzeki
Mają namioty na pustym ugorze,
Tylko pragniemy, by nas całe morze
I wszystkie góry od nich odcięły na wieki.

Pragniemy wszyscy; chociaż, o północy
Gdym wyszedł tknięty jakąś dziwną siłą,
Widziałem, nie wiem, może mi się śniło, —
Brat drugi stał i patrzał w ciemną pustkę nocy,

W stronę, gdzie jeszcze słabe światło tliło
U tamtych ludzi. Pewnie mi się śniło!
I drżąc od zimna, padłem na posłanie.

Lecz jestem pewny, że nim księżyc stanie
Nad samym szczytem naszego namiotu,
Stamtąd nadpłynie głuche echo grzmotu
. . . .
I znów stracimy z pośród nas jednego...

Muzyka.

I.

Z pierwszym zaraz akordem coś pęka na dwoje.
Ciemno od rąk, litości daremnie żebrzących,
Duszno od spazmów piersi szybko falujących,
Naraz trzask jakby ciężkie zapadły podwoje.

Jak krew z otwartej żyły, tonów wytryska kaskada
Po ziemi płyną czarne gorące potoki;
Para bucha dyszącą falą pod obłoki
I rosa krwawa, ciężka, na trawie osiada.

Szumi coś, ale szumy dławią jakieś dłonie.
Coś dyszy, ale w gardło szpon się nurza krwawy.
Zdala dochodzą echa wesołej zabawy.

Rozbity, pełen ludzi — okręt cicho tonie —
Znikł, — a na spienione fale wypływają białe
Łabędzie, wyginając szyje okazałe.

II.

Dźwięki się zbiły w jakąś mgłę błyszczącą,
W gorącą chmurę namiętnie drgającą;
Jak w białej piersi, w której rozpacz wyje,
Chaos w tej białej krągłej chmurze żyje.

Spłynęła w górę, i łkania stopniały,
Świat ciężko westchnął... poweselał cały,
A pod niebiosa wyleciały ptaki,
Na morzu niebios nowe znaczyć szlaki.

Płynie pieśń. Sama nie wierzy że śpiewa,
Boją się szumy jej powtarzać drzewa,
Boją się skały echa nieść tej pieśni.

Tak z ciężkich marzeń zbudzony nie wierzy,
Że mara nocna kłów już swych nie szczerzy,
I drży i pyta, czy żyje... czy nie śni.

III.

LIBER TRISTIUM.

Żałoba.

Mojej umarłej.

Rozpuściłaś czarne włosy
Żałobo,
A noc ciemna cicho pełza
Za Tobą.

Idziesz cicha, zadumana,
Przez ściernie;
W ciszy nocnej ból wybujał
Niezmiernie.

Już dosięga głową nieba
Tułaczą,
Już na ziemi żadne usta
Nie płaczą.

Żadne skargi już się z ziemi
Nie wznoszą,
Żadne usta już litości
Nie proszą.

Rozpuściłaś czarne włosy
Żałobo.
Jak cień nocy cicho idę
Za Tobą.

Nie chciałaś mojej pieśni...

Nie chciałaś mojej pieśni, gdy była cicha, blada,
Mówiłaś, że ci od niej mgła na serduszko spada,
Nie chciałaś mojej pieśni, gdy wrzał w niej szał i śmiech,
Dzikiej nie chciałaś pieśni — mówiłaś: »To grzech, to
grzech!«

Nie chciałaś słuchać pieśni, kiedy mi w duszy tliła...
Aż gdy mię ciężka ręka do ziemi pochyliła,
I kiedy serce moje już cudów więcej nie śni,
Ty teraz łkasz i żądasz, dziewczyno — dawnej pieśni!

Szczepanikowi.

Z wydętymi żaglami nadziei
Płynie okręt człowieczej tęsknoty
Po zielonej wydarzeń rozchwiei.

Od rudawej słonecznej pozłoty
Na toń smugi padają łyskliwe
Wesołości, użycia, ochoty.

Czasem białą wyrzuci fal grzywę
Wiatr i srebrną pokropi toń rosą,
Czasem echa dźwięk pieśni przyniosą...

Ni się czarnej ciemności nie zlęknie,
Ni bezdennej i zdradnej mórz toni,
A z pokładu wesoły śmiech dzwoni,
. . . .
Póki żagiel nadziei nie pęknie.

Wybiegnijcie na stepy
Zielone
Moje wizye i mary
Wyśnione.

Moje we śnie widziane
Zjawiska
Dajcie sobie na stepie
Igrzyska.

Niech się walka ostatnia
Rozegra,
A jeżeli mój spokój ją
Przegra,

Nim krwi z duszy ostatki
Wycieką,
Pójdę sobie daleko,
Daleko.

Czary.

Głusza, jak w wielkim lesie kiedy wiatr opadnie
Na trawę umęczony — i z wrzosem figluje,
To nie cichy spoczynek, każdy listek czuje,
Że, chociaż nie zerwany, niedługo opadnie,

Jeżeli to milczenie, co truje tak zdradnie,
Tak cicho, tak pomału, potrwa jeszcze chwilę.
Mieniące się do słońca wesołe motyle
Przylgnęły do drzew kory. Co chwilę odpadnie

Jeden — drugi — dziesiątki -- jakby przyszła zima.
Nie, napiły się strachu, co truł drzewa soki,
Co wypełnią powietrze jak miazmów obłoki.

Już widzę, jak się chylą grube drzew konary.
Jeżeli jeszcze chwilę potrwają te czary,
Las umrze, — ale dusza! och dusza, wytrzyma!

Trzymaj się hardo, ty dumna opoko,
Na której stoją pałace szczęśliwych.
Ty, co upadasz na piersi nieżywych
Kamieniem grobu, wspinaj się wysoko!
Tak jakbyś miała wrosnąć w niebo czołem
I jakby każdy z tych, co tam mieszkają,
Miał się niedługo obudzić — aniołem.
Jakby ci mali, co swą dumę tkają
Jak płótno rzadkie z nitek poplątanych,
Mieli na paśmie długie losy świata.
Jakby nie było — rzeczy potarganych.
A niech ci orzeł, co tam czasem wzlata,
Powie, że... zresztą lepiej niech on milczy,
Bobyś runęła na wieść, żeś... podmyta!

Ach, jak się boję!

Ach! jak ja się boję!
Czy znajdę sny moje,
Czy odnajdę dźwięki
Śpiewanej piosenki
Daleko i dawno w szczęśliwych dniach.

Czy ja się pokuszę
Spojrzeć w swoję duszę?
Aż mię strach przenika
Znaleźć nieboszczyka;
Wolę się zatopić w złotych szczęścia snach.

Dobrze tej pieśni.

Dobrze tej pieśni, która kona
W zerwanych strunach... nieskończona,
W stokrotne echa zasłuchana.

Ale czy wiecie, jak rozpacznie
Kiedy się struna naciągnięta rozstrajać zacznie
I pieśń się w fałszów sto rozbija!

A ile ech do duszy padło,
Tyle łez plami jej zwierciadło,
I tyle czarnych na niej plam...

I już się niebo w niej nie widzi
I każdy promień słońca szydzi...

Ja taką duszę znam.

My.

Z za mgły białej, co zmysły nam ciasno oplata
Jak cienka nić pająca muchę pochwyconą,
Czasem błyśnie coś znane, drogie jak twarz brata,
Czasem brzęknie jakgdyby harfę potrącono
Krajem sukni w przelocie, czasem także w mroku,
Jakiś kształt niewyraźny zadrży chwilę w oku.

Próżno wyciągać dłonie pełne kruszyn chleba
Do wędrownych jaskółek, polecą, porzucą,
Nawet okiem w przelocie na strawę nie rzucą.
Próżno czekać, aż zleci jasna gwiazda z nieba,
Albo serce dożyje chwili, której pragnie,
Albo aż się do myśli wszechświat cały nagnie.

A jednak całe, całe życie pewnych ludzi
Jest czekaniem i ciągłą za cudem tęsknicą.
Chodzą ślepi, z otwartą szeroko źrenicą,
I nocy mrok dopiero ich z uśpienia budzi —
I są jak somnambule trwożni i nieśmiali,
Co na jakieś wołanie ze snu się zerwali.

Znam ich, to bracia moi po duchu i doli.
Skrwawionemi stopami bruk rzeczywistości
Depcą. Idąc, na ustach niosą pieśń miłości
Dla rzeczy, co nie kwitną tu, na czarnej roli,
Dla rzeczy nie dających się przywabić chlebem,
Dla rzeczy nie błyszczących pod tej ziemi niebem.

To ci, co się zrodzili o wieki zapóźno,
O tysiące mil długich, zdala od ojczyzny.
To ci, co żyć jak inni kuszą się napróżno.
Ci, co świętych na piersiach znaków niosąc blizny
Pod ubraniem paryasów, kroczą wśród falangi
Obcych ludzi. My wnuki Brahminów z nad Gangi.

Szczątki.

Zejdź do tych ruin!... To zwłoki świątyni,
Co w gruzach legła, nim ją ukończono...
Patrz!... Leżą na mych barkach przywleczone
Słupy kręcone... Jak dym skamieniały,
Co się podnosi z ołtarzy do nieba.

Widzisz tę wielką przełamaną głownię?
To moja dusza!... To ciało mej duszy!
O gdybyś wiedział, jak łkała... jak łkała,
Gdym ją płonącą rzucał do kałuży!
O gdybyś wiedział, jak konają dusze...

Widzisz te wielkie głazy?... To są trupy!
Ale to były niegdyś silne ręce,
Co się w uścisku miały pod sklepieniem
Związać i dźwigać złoconą kopułę...
O gdybyś wiedział jak martwieją ręce!...

Na tym rozbitym głazie widzisz skrzydło
Czarne, potężne, szponem zakończone...
Jak cicho leży na stosie pamiątek!
Ono skonało, bo szponem łakomym
Krwi i zdobyczy uderzyło w Pustkę.

Patrz! Rozłamany na części nenufar,
W którego kielich nie spłynęło Bóstwo.
Patrz na te trupy! Ale patrz spokojnie,
Bo nawet w północ, przy blasku miesiąca,
W godzinę duchów: tutaj duchów niema.

Tu ledwie szczura możesz zdeptać nogą.
Tu nic nie straszy, tu nigdy nie było
Duszy żyjącej. Duchy krążą tylko
Koło tych domów, gdzie mieszkańcy zmarli...
Ale nie krążą nigdy koło czary
pod stół rzuconej...

Rozłąka.

Pannie E. L.

Drzewa się rozśpiewały,
Ale dziwna to pieśń.
Spiewa, płacze las cały,
A na murawy pleśń
Jak łzy z góry padają tej pieśni akordy.

Dziwnie szumi las cały.
Podobne jęki,
Jakby dzwony gdzieś grały
Pożegnania piosenki,
A echa powtarzają jakieś dziwne łkania.

Ból, żal jakiś porywa
I pierś się podnosi.
Z lasu coś woła, wzywa,
Krzyczy, płacze i prosi :
Zostań, ach zostań, albo zabierz z sobą.

...Daremnie, daremnie !
Już dudnią koła...
Las cały się pogrąża w jakieś straszne ciemnie.
Ucichło wszystko i już nic nie woła.
. . . .
I tylko ciągle z góry łzy padają w trawę.

Samotna.

Pannie Jadwidze L.

Świt zwolna wstaje. Nad brzegiem morza
Rwie się u pala samotna łódź.
Rwie się i tęskni i wód bezdroża
Chciałaby pruć.

Rwie się u pala i z cicha jęczy
Samotna, biedna łódź,
A łańcuch stary nieśmiało brzęczy.
Nie chciał jej skuć.

Nie chciał na wieki przykuć samotnej
Nad brzegiem modrej topieli,
To tylko ludzie w drodze powrotnej
Jej zapomnieli.

I świtów tysiąc jeszcze zobaczy
Mękę codzienną łodzi tułaczej,
Co ludzie zabrać nie chcieli;
Dni długie jeszcze i noce miną,
Zanim rozbite szczątki popłyną
Na falach modrej topieli.

Ślepcy.

Tłóm. z Baudelaire'a.

Patrz na nich duszo moja. Ach! ohydni Oni!
Podobni manekinom: śmieszni i nieśmiali.
Podobni somnambulom, co w noc ciemną wstali,
Idą przez globy w czarnej pogrążone toni.

Oczy, w których umarły złote skry poznania,
Wzniesione w górę niosą, w ciemną dal patrzące.
Nigdy głowy na piersi nie złożą marzące;
Idą wśród ciemnych pustyń bez jęku, bez łkania.

Czarną i beznadziejną mierzą dal z rozpaczą.
Na czołach pocałunek niosą Nocy-Ciszy.
W około tryska życie i roskoszą dyszy.

Z bledszem niż Oni czołem.... śladem, którzy znaczą,
Wlokę się. I mnie słońce także nie pokrzepi.
I pytam: Czegoż po niebie szukają ci Ślepi?

Tłóm. z Baudelaire'a.

Sam sobie kopię jamę w czarnej tłustej ziemi.
Wygodnie spoczną kości w tego grobu cieniu.
Tak, dół wygrzebię duży rękami własnemi
I jak rekin we fali, spocznę w zapomnieniu.

Nienawidzę nagrobków, niecierpię cmentarzy,
Co o żałobę proszą przechodnia żebraczo.
Sam wesoły i żywy zapraszam grabarzy.
Niech szarpią moje ciało! Niech wesoło kraczą.

Patrz cichy towarzyszu! Patrz idzie ku tobie
Filozof, człowiek życia, idzie syn zgnilizny.
Idzie tanecznym krokiem, aby spocząć w grobie.

Podaj mi rękę śmiało. Patrz na moje blizny,
Na me krwawiące rany i powiedz ponury,
Czy masz jeszcze dla trupa tej duszy tortury?

Pęknięty dzwon.

Tłóm. z Baudelaire'a.

Słodko, choć tęskno jakoś, słuchać w noc zimową
Przy ogniu drżącym dymem i żaru iskrami
Wspomnień dawnych, co mówią smętną świerszczów mową,
Gdy świat się pokrył nocą ponurą i mgłami.

Szczęsny dzwon... co w starości ma spiżowe płuca!
Woła z potężnej piersi... jak żołnierz na straży.
Wierny... stały... choć siwy, sztandaru nie rzuca!
I do skonu mu serca wieku mróz nie zwarzy.

Duszo moja pęknięta!... Gdy z bolesnej nudy
Wydzierasz się, by pustkę, by noc zakląć w cudy,
I tworzyć łaknąc, śpiewasz... jakże głos twój płacze!

Tak jęczy ranny żołnierz... co życie tułacze
Kończy pod stosem trupów na pobojowisku
Z krzykiem zmarłym na ustach w tym strasznym uścisku.

Groby na pustyni.

Jak wędrownych jaskółek ciągnące szeregi
Tak ciągnęły me myśli wysoko, wysoko!
Ponad piaski pustyni, szczytów białe śniegi
W nieznaną Wielką Przyszłość zakrytą pomroką

Długo, długo płynęły, aż jedna umarła
I roztrzaskała piersi o wapienną skałę...
Zostało na pustyni myśli ciało małe,
A w szeregach się rana maleńka otwarła

I jęk krótki od góry nadleciał żałoby.
Dziś niebo czyste, jasne: Nie szukaj po niebie
Ciągnących myśli moich. Patrz dokoła siebie...
Widzisz te niezliczone na pustyni groby?

Pogrzeb.

Mojej umarłej.

Na trumnę ci rzuciłem garstkę suchej ziemi
I poszedłem daleko z oczyma suchemi;
I poszedłem daleko z oczyma suchemi,
Kiedyś przed grobem w trumnie leżała na ziemi.

Teraz Ci nad mogiłą szumy potężnemi
Śpiewa wiatr i w gałęziach drzew cmentarza płacze,
A resztki szarf i wieńców butwieją na ziemi
I wróbel wśród tych szczątków poświerkując skacze.
A ja chodzę jak tułacz samotny po ziemi,
Bez słowa i bez jęku z oczyma suchemi.

Że mi się serce darło w owej chwili,
Ty wiesz, ty mię rozgrzeszysz, że nie mogłem płakać;
Szatani mię na łoże płonące złożyli
I serce w pustej piersi zaczęło się taczać,
Świece jak hyen oczy świeciły na puszczy
I jak baty mię cięły śpiewy głupiej tłuszczy.

I przestałem oddychać. Och uczciłem Ciebie
Sroższą męką jak łkania; wszedłem w głąb mej duszy
I spełniłem dymiącą amforę katuszy
I byłem na mej własnej nadziei pogrzebie....

Wieczne Ja.

Trzeba się raz nauczyć tak cicho, spokojnie
Czekać, jak tresowany pies na miskę kaszy,
Na lepszą jakąś dolę. Śniłem raz o wojnie
I wiem teraz wybornie, że nic tak nie straszy
I że nic tak nie boli jak myśl o zwycięstwie.
Siła leży w brutalnem i bezmyślnem męstwie.

I dobrze jest na świecie, tylko trochę nudno
I częściej niż wypada oczy łzą zachodzą
I zbyt często swobodnie oddychać jest trudno
I marzenia się jakoś ze życiem nie godzą
I zaczęsto coś krwawią dawne duszy rany
I drze się łachman woli ciągle zeszywany.

Czasem także... I pocóż wywoływać mary,
Co drzemią jak pijawki u człowieczej duszy...
Czasem tylko przez mgliste codzienne opary
Wychodzi jakaś postać jak światło z pieczary
I rzuca w senną ciszę jakieś głuche jęki
I śpiewa jakieś dziwne bez związku piosenki.

Śpiewa, że ktoś odjechał i że już nie wróci,
Że robaki się cieszą w grobie, tocząc trupa,
Że się człowiek jak stara zapada chałupa,
Jeśli jej śmiała ręka na czas nie rozrzuci,
Że są różne nektary i że od nich smutki
Prędzej więdną jak w słońcu kwiaty niezabudki.

Różne dziwne, nieznane śpiewając piosenki,
Chodzi jak brzask po stepach. a gdzie ręką skinie,
Zaraz się wielki kawał horyzontu zwinie.
I jak na harfie strojnej zaraz giną dźwięki,
Kiedy mistrz białą dłonią po strunach posunie,
Na świat się nicość kładzie jak wieko na trunie.

Znikło wszystko, tylko mała błyszczy plama,
Sina o krwawym rąbku jak rana gnijąca.
Nie wiem już, od jakiego wzięła blask swój słońca.
Stare zgasło i tylko wielka czarna plama
Jak po odpadłym wrzodzie widniała na niebie.
Zaraz pewnie się wszystko w ciemności pogrzebie.

Nie. Rośnie, wre i kipi jak otwór wulkanu,
Zieje ogniem jak pjana waryata źrenica,
Sama się własnym żarem do szału podsyca,
Rośnie jak podczas burzy ciało oceanu
I rzuca w ciemną pustkę bez granic, bez końca
Jakieś wielkie pociski, jakby sine słońca.

Już cała przestrzeń płonie, ale chociaż jasno,
Nie widzę w około siebie ani skrawka ziemi.
Noc się tylko zmarszczkami poryła sinemi
I w całym tym ogromie jakoś strasznie ciasno.
I uwierzyć nie mogę, że to duszę własną
Widzę w godzinie walki z marami nocnemi.

Wybacz!

Nic prawie się nie stało, a jednak tak dużo!
Czy myśl ma nie zagrała w twojej duszy echem...
Czyś mi ust z tym co zwykle nie dała pośpiechem...

Nic się prawie nie stało na ziemi i niebie,
Tylko brakło mi w duszy akordu jednego
I tylko w mgle ujrzałem odchodzącą ciebie.

Idę przez pusty ugór; szybko zwiędły kwiaty
I szybko za kwiatami z żalu słońce zgasło
I tylko jakieś ciche, straszne padło hasło.

Nic prawie się nie stało, tylko usłyszałem,
Że muzyka, co grała tak dobrze i długo,
Wnet się jak klamrą zamknie potężnym finałem.

I dlatego, ach wybacz, jak pies zaskomlałem!

Rozpacz.

Grzeszę, jak skąpiec gromadzi dukaty,
Grzeszę jak pszczoła, co miód z kwiatów zbiera
I ciągle wkoło ostrożnie spoziera
I w około ulu rozstawuje czaty.

Gromadzę moje zbrodnie i z rozkoszą
Tuczę się niemi, bo mi mary płoszą.

Na tych rozstajnych drogach, gdzie się dzielą
Ślady uczciwych i ślady zbrodniarzy,
Moja się dusza trwożnie nie zaważy
I przed podłości nie zadrży kąpielą,
Choćby ta kąpiel była nawet z błota;
Tonę w podłości jak w szkatule złota.

Skowyczeń ludzkich muzyką się pieszczę.
O! są w tych jękach dziwne, dziwne tony!
Gdyby je rzucić w ocean wzburzony,
Zmarzłby jak w lodu pochwycony kleszcze.
Gdyby je rzucić o And dzikie skały,
Żyły by srebra i złota stopniały.

Chromatycznemi gamami się wiją
Jak węże śliskie dźwięki — złorzeczenia
I pewnie w gadach nie było pragnienia
(Gady z żądzami tak sprytnie się kryją)
Ukąsić stopę, co je w gnieździe tłoczy,
Co we mnie, plunąć Wam w serca i oczy.

IV.

CARPE DIEM.

JANOWI SZCZEPANIKOWI

PRZYJACIELOWI LAT DZIECINNYCH.

Carpe diem.

Od siebie precz! Zadługo moje oczy
W mej własnej duszy zaułki patrzyły;
Już wszystkie widma na popiół spaliły
I teraz blask je słońca łzami mroczy...

Na świat, na świat, na jasne światło słońca
Chcę patrzeć — żyć, ostatkiem patrzeć wzroku,
Nim się pogrążę w tym okropnym mroku,
Gdzie nie ma nic, początku, ani końca!...

Do piersi mej, ty przytul się dziewczyno!
I patrz, bez drżenia, choć zobaczysz krew...
Niech nam osłonią czoła liście drzew —
I patrzmy! patrzmy — nim te cuda miną...

Zaduma.

Zstąp ze mną śmiało niżej, tam, gdzie się wrzaskliwe
Zwierzę skończyło w niemych kształtach kwiatu...
Po drabinie stworzenia — tam, gdzie aromatu
I niemych kształtów cicho płyną nurty żywe.

Zapadnij aż po serce w klomb storczyków dziki,
Na duszy kwiatu usta gorączką spieczone
Połóż, wykreśl z pamięci wszystkie rzeczy śnione,
Stłum wszystkie mięsożerczych zwierząt w piersiach ryki...

Zamknij oczy, a w piersi wciągnij haust nektaru,
Co płynie jak kadzidła dymy pod niebiosy.
Powieki przykryj dwoma kropelkami rosy
I czekaj cicho, ufnie, na godzinę czaru.

Wejdzie ci w piersi granie jakieś dziwne, rzewne,
Jak szmer soków odżywczych, jak szum krwi roślinnej
Co rankiem kwiatu kielich rumieni niewinny —
Jakieś wielkie »Hosanna«, potężne i śpiewne...

Chodź ze mną.

Chodź ze mną śmiało, nie płacz chociaż tutaj ciemno,
Tutaj dlatego tylko ciemno, że się boisz.
Na twardym, wielkim głazie dyamentu stoisz.
W krainę skarbów moich, chcę byś poszła ze mną.

Gdy serce drzeć przestanie, lampa się zapali
Jasna na twoim czole i czary oświeci —
O nie drżyj! — to nietoperz przestraszony leci.
Oprzej się o mnie piersią, no i chodźmy dalej!

Schylasz się? — O nie warto! — to pył brylantowy,
Co ściele naszą drogę, wiesza się na stopach.
Podnieś głowę do góry; widzisz jak tam w stropach
Pali się na rubinach ogień purpurowy?

W wielkiej nas czeka sali po drodze niedługiej
Łoże z konchy perłowej misternie rzeźbione.
Władzy morza na głowę ci włożę koronę,
Dywanem ci tysiączne padną do stóp sługi.

U stropu się łuna większa jak słońce zapali.
Będziemy żyć od ludzi i świata daleko,
Płynnego złota — Styksu oddzieleni rzeką —
»Już mam dosyć brylantów! — Luby idź sam dalej!«

Wina!

Nalej mi wina! Niech mię żar otoczy,
Niech mi się zdaje, że się światy palą!
Niech mi się zdaje, że jeszcze tej nocy
Szału Zniszczenia pochwycone falą
Runą na siebie strącone z kolei
Gwiazdy... i umrą. Tak! niema nadziei!
Nic nie zostanie! Czas się podrze w szmaty.
Przestrzeń się skłębi i podusi światy,
Wszechświata strzępy zatoczą się pjane,
W szalonym tańcu... padną poplątane,
I będą spadać — — coraz dalej, dalej...
Tak! To dzień Sądu! Hej wina mi nalej!

V.

MYŚLI.

Nieartykułowany krzyk ma w sobie coś bezpośredniego i działa fizycznie — jak ogień — jak trucizna. Znam jeden, który znaczy: »Nigdy«... On sparaliżował mi serce.

*

Wyglądam Ciebie, jak kwiaty, omdlałe w upale — chmury na niebie. I także nie wiem, czyś ty deszcz, czyś ty grad.

*

Mam Ciebie, jak miałem raz kartacz z zapalonym lontem w ręku. Tylko wtedy na czas uciekłem, a dziś...

*

Jesteśmy, moja ukochana, jak dwa okręty, leżące w przystani. Okryte żelazną powłoką leżą cicho i nie wiedzą, czy popłyną razem, i nie wiedzą, czy mają bratnie, czy wrogie flagi na masztach.

*

Chciałem znaleść miejsce na grób, ciche i od hyen bezpieczne. Spotkałem Ciebie. Szłaś milcząc i rzuciłaś

kilka kwiatów. I tu zacząłem kopać grób, gdzie kwiaty padły. Nazajutrz kwiaty zapuściły już korzenie w ziemię. »Dzięki Ci!« pomyślałem, »będę spał w ogrodzie«.

I choćbyś już nigdy nie wróciła, będę spał w ogrodzie.

*

Moje Szczęście, czy Ci będzie dobrze w mojej duszy? Czy Ci nie będzie zimno w mojej duszy? Tyś pierwsze światło i ciepło; dotąd były tam tylko mgły i błyskawice.

*

Gdybyś była kobietą, a ja mężczyzną, owinąłbym sobie Ciebie koło bioder i byłabyś moją Siłą — ale my jesteśmy dwa światy, które mają swoje drogi obiegu koło słońca. Czy to nie jedna ostatnia mała chwila spotkania? I drżę, czy Ty nie pójdziesz odemnie swoją drogą. I drżę, czy ja od Ciebie nie pójdę swoją drogą.

*

Było zwierciadło wody, w którem przeglądały się gady, do którego zbliżała swą ohydną twarz Rozpacz, Lenistwo, Strach i Szał — to była moja dusza. Przyszłaś i stoisz nad wodą i rzucasz w nią kwiaty, a potwory mruczą w lesie zniecierpliwione. Gdybyś się przejrzała w mojej duszy, zginęłyby — a ty stoisz i rzucasz w wodę kwiaty, ciągle rzucasz kwiaty, ciągle...

*

Widzisz te książki w szafie? Tam są słowa, któremi mówiła do mnie moja Nadzieja. Teraz trupy ubrałem

w paradny strój i włożyłem do jednej wielkiej paradnej trumny. Czy Ty się nie boisz trumny w pokoju?

*

Od gwiazdy umarłej pozostała mi na czole jasna plama. Wokoło było bardzo ciemno — plama świeciła, i dlatego, kiedyś przyszła, wskazałem Ci czoło i powiedziałem: Oto jest. Oszukałem Ciebie i siebie.

*

Ciepłą chmurą, co osłania serca na wysokich górach przed zimną mgłą — taką chcę mieć miłość moję.

*

Boję się miłości, co jak żar zwrotnikowy, roztapia duszę i rodzi bakterye.

*

Stawiam przed sobą cel, a za sobą miecz. Jeżeli się cofnę teraz, cofnę się ostatni raz.

*

Wyobraźcie sobie malarza, któremu w chwili, kiedy wziął pędzel do ręki, ta ręka opadła. I wyobraźcie sobie, że on przy tem został przy zdrowych zmysłach.

*

Czy potrafisz Ty uszanować moję Nędzę i moję Nicość, powiedz, moja żono?

*

Tak jak chce się czasem wołać całemu światu: »Kocham!«, tak chce się wołać czasem całemu światu »Konam!...«

*

Jeżeli filozofia nie ma być pustą i świadomą swojej próżni sofisteryą, musi mieć na dnie to głębokie uczucie, na którem rosną wszystkie wiary... To uczucie, co zarówno drży w pączku kwiatu jak w duszy człowieka — tęsknotę....

*

Nie lękajcie się ukochać jednej myśli, choćby mgła miała wam na inne oczy zasłonić. Na końcu wąwozu o ścianach prostopadłych, jaśniej błyszczy cel podróży.

*

Różnica. Wam trzeba wodospadu Niagary aby młyn życia zaczął się obracać; mnie, zapalonej świecy dość, jak radyometrowi. Co więcej, ja się mogę obracać — wspomnieniem światła.

*

Rzucić na te dwie szyby, któremi świat się do mózgu wciska, garść róż, albo pocałunek kochanki — i już minie złe. Chyba, że róże powiędną, a usta — odpadną jak nassana pijawka...

*

Szczęście — to chwila wyczerpania między dwoma atakami szaleństwa.

*

Człowiek ma naprzód jedną trumnę — ciało matki, potem drugą — społeczeństwo, potem trzecią — miłość, a potem — dębową, albo, jeżeli zamożny, metalową.

*

Czasem jakiś wielki twór gdzieś w niedojrzanej głębi duszy budzi się ze snu, przeciąga straszliwe swoje muszkuły i — — — przewraca na drugi bok. Zbudził się w niewielu ludziach — to byli geniusze.

*

Kiedy widzę powódź, zdaje mi się, że to halucynacya odtwarzająca tę prawdziwą, tę straszną, co porwała mi z duszy kołyskę z żywem niemowlęciem i wiernego psa, co go pilnował.

*

Tłumacz jest ojczymem dzieła, którego ojciec umarł lub wyjechał.

Pocałunki najlepszego ojczyma są zimne.

*

Człowiek czynu, spotkawszy zaporę — obala ją, artysta maluje na powierzchni twardej skały-zapory swoje wizye i płacze — ale gdybyście ją usunęli — umarłby.

*

Zbiór motyli. Rozpostarte mają skrzydła do lotu, a na nich barwy niestarte, a na nich barwy błyszczą-

ce jak niegdyś. Myśli zamorzone głodem i trucizną pustki. Rozpostarte mają skrzydła, martwe do lotu, a na nich barwy niestarte, a na nich barwy błyszczące, a przez ciało idzie ostra, długa szpilka. Ładnie wygląda za szklanną szybą zbiór motyli.

*

Cienie od rzeczy padające znikają z rzeczami. Cienie od myśli padające trwają długo, długo, tak długo, że całe nieràz pokolenia nie mogą się uśmiechnąć.

SPIS RZECZY: